

Antoni Kępiński. Gra z czasem – Krystyna Rożnowska

Swoje książki pisał i przygotowywał do druku podczas dwupółletniej nieuleczalnej wówczas choroby, podejmując wyścig z czasem zbliżającym go do śmierci.

Krystyna Rożnowska

„Antoni Kępiński. Gra z czasem”

rok wydania: 2018

Wydawnictwo WAM

Swoje książki pisał i przygotowywał do druku podczas dwupółletniej nieuleczalnej wówczas choroby, podejmując wyścig z czasem zbliżającym go do śmierci. Co sprawiło, że mimo bólu i nieuchronności bliskiego zgonu podejmował co dzień ciężki trud tworzenia? Skąd czerpał na to siły? Jak ktoś twierdził nieco patetycznie – do twórczości może człowieka zmusić miłość, gdy przyjdzie nagle, lub śmierć, gdy się nieco ociąga. Było to więc tworzenie przeciw śmierci, gra z czasem.

Jest lato 1970 roku. Przez trzy miesiące – od lipca do września – Antoni Kępiński leży w Klinice Nefrologicznej Instytutu Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej przy ul. Kopernika 15. Ma pięćdziesiąt dwa lata. Jest unieruchomiony w łóżku gipsowym. Leczy go ze szczególną troską jego przyjaciel z gimnazjalnych lat, szef Kliniki, prof. Zygmunt Hanicki. Bardzo zapracowany i aktywny przed chorobą Kępiński z trudem znosi bezruch, dokuczają mu też liczne dolegliwości. Jednak kiedy z powodu wykrytej u niego niedawno choroby nowotworowej układu krwiotwórczego, szpiczaka mnogiego, pękł jeden z kręgów, zastosowanie takiej metody leczenia prof. Hanicki uznał za konieczne.

Mimo to pacjent się nie nudzi, a może nawet czasem potrzebuje więcej spokoju należnego choremu w tak ciężkim stanie. Przebywa tu z nim żona, pani Jadwiga, bywa też jego siostra, Łucja Szumowska, wpadają często lekarze z pobliskiej Kliniki Psychiatrycznej, w której pracuje od lat, oraz liczni przyjaciele. Przychodzą także jego pacjenci.

Gdy odwiedzający zadają mu najczęstsze w tych okolicznościach pytanie o samopoczucie, Kępiński bagatelizuje swoją chorobę. Nie rozmawia o niej także z lekarzami i choć diagnoza jest już znana, utrzymuje, że są to reumatyczne dolegliwości. Z jego ust nie pada słowo „rak”. Trudno dociec dlaczego, dzisiaj na ogół ludzie otwarcie mówią, że są chorzy na raka. Wtedy jednak choroba nowotworowa była tabu i zwykle nie wymawiano jej nazwy, zwłaszcza w obecności chorego, uważając, że może to spowodować jego przygnębienie i zabić w nim nadzieję, bo przecież z rakiem wygrywali tylko nieliczni. A ten chory chciał pewnie uniknąć sytuacji niezręcznych dla odwiedzających, oszczędzić im zakłopotania, kierował więc rozmowę na inne sprawy, starając się utrzymać jej lekki towarzyski ton.

W końcu września 1970 roku, w ochraniającym jego kruche kości gorsecie, który musiał już nosić do końca życia, zostaje przewieziony do pobliskiej Kliniki Psychiatrycznej przy ul. Kopernika 21 a. Niedawno został jej kierownikiem, na pewno trudno mu się pogodzić z tym, że nie może wypełniać aktywnie swojej funkcji. Urządzono tu dla niego na piętrze gabinet, tak by mógł w nim przebywać dzień i noc – leczyć się, a jednocześnie kierować Kliniką, konsultować pacjentów i pisać. Jest tu także z nim żona i ukochany kot Antoś, co stwarza domową atmosferę.

Budzi się zwykle o czwartej i gdy inni chorzy jeszcze śpią, w ciszy i spokoju pisze swoje książki. Już o szóstej rozpoczyna się codzienne życie szpitalne i co chwilę ktoś puka do drzwi. Wchodzą lekarze, ci, którzy go leczą, ale też i inni, z tej i sąsiednich klinik, a także pielęgniarki, a potem goście – pacjenci i przyjaciele. Z lekarzami swojej Kliniki omawia sprawy organizacyjne i leczenie chorych. Odszukują go też tutaj jego wieloletni pacjenci, dla których nigdy nie brakowało mu czasu. Teraz również ich przyjmuje, pyta o zdrowie, rozważa ich problemy, daje rady i wskazówki, podtrzymuje na duchu, a więc nadal leczy. „Odwiedziłam go, kiedy już chorował, przebywał w pokoiku na poddaszu, chyba na trzecim piętrze. Siedział w łóżku, obok stała maszyna do pisania, leżały papierosy. Tak, dużo palił, do końca. Chociaż sam był chory, pomógł mi przetrwać chorobę mojej mamy” – wspomina Aleksandra Opalska, nauczycielka pielęgniarstwa.

Gdy czuje się nieco lepiej, współpracująca z nim od lat pielęgniarka Janina Zając przynosi mu wykrochmalony biały fartuch, pomaga go włożyć i mówi: „Panie docencie, idziemy na wizytę”. Wychodzi z nią na oddział, idzie od łóżka do łóżka, nie zdradzając się ze swoim cierpieniem, i z uwagą wysłuchuje każdego chorego.

Wtedy jeszcze Antoni Kępiński nie był tak znany poza krakowskim środowiskiem psychiatrycznym jak kilka lat później. Co prawda opublikował już około stu artykułów naukowych, a pierwsza jego książka od dawna czekała na wydanie, ale popularność miała dopiero przyjść. I nadeszła wkrótce po jego śmierci. Przyniosły ją wydawane wówczas jego dzieła.

Nie śpieszono się wcześniej z publikowaniem jego książek, które składał w wydawnictwach naukowych. Jedni mówią, że z powodów politycznych – nie był ulubieńcem ówczesnej władzy, inni twierdzą, że recenzentów tych wydawnictw zniechęcał nie naukowym, ale raczej popularyzatorskim stylem. Nie szukał poparcia w kręgach rządzących, chociaż to mogło wówczas ułatwić karierę, nie bywał też na sympozjach i zjazdach naukowych, więc i w ten sposób nie dawał się poznać jako uczonego. Natomiast chętnie dyskutował o pacjentach z pracownikami Kliniki i ze studentami.

Nie zabiegał o awans w strukturach uczelni, nie lubił zajęć administracyjnych, uważał je za stratę czasu. Poświęcał go głównie chorym, z pasją prowadził z nimi długie rozmowy, utrzymując, że są one najlepszym źródłem wiedzy o człowieku, bezkresnej, wręcz nie do ogarnięcia. Chorzy nigdy go nie nudzili. Opowiadano, jak podczas zajęć dydaktycznych, w czasie których długo i szczegółowo analizował stan chorego, jakiś student poprosił, by przedstawił następny przypadek, bo

ten już im się znudził. Podobno dał się ponieść emocjom i pytał podniesionym głosem: „Człowiek wam się znudził? Człowiek? Czy wy wiecie, kto to jest człowiek?”.

Długo nie chciał zaakceptować swej choroby, ale wzięła nad nim górę, a wkrótce zmieniała jego intensywne życie i pokrzyżowała plany. Zaraz po pięćdziesiątych urodzinach zasygnalizowała swoje nadejście bólem kości. Z początku przypuszczał, że są to dolegliwości reumatyczne, usiłował je ignorować, nie przerywać pracy. Nie uszło jednak uwagi żony jego przygnębienie, zauważyła, że chudnie, mizernieje, ma lekko żółtawy odcień oczu, bywa osłabiony, rozdrażniony.

Choć już czuł się słaby, a bóle kości się nasilały, we wrześniu 1969 roku pojechał z żoną na zaplanowaną wcześniej wycieczkę do Jugosławii. Mimo dolegliwości przemierzał z nią piękne krajobrazowo trasy wzdłuż adriatyckiego wybrzeża. Dotarli do Puli, byli w Cetinje. Z Rijeki popłynęli na wyspę Korczulę i zatrzymali się tam na kilka dni. Okazało się, że była to ostatnia podróż w ich życiu.

Wtedy jednak Kępiński jeszcze nie wiedział, że ma przed sobą tak mało czasu. Chyba jednak przeczuwał, jak później wspominała pani Jadwiga, że jego życie może być zagrożone, bo po powrocie z Jugosławii przyspieszył tempo pracy, jakby starając się lepiej wykorzystać każdą chwilę, która mu została. Z pośpiechem wypełniał podjęte zobowiązania i kończył rozpoczęte wcześniej zajęcia, porządkował zapiski, maszynopisy i zagęszczał w swym kalendarzu terminy wizyt chorych. Czuł się jednak coraz gorzej, zeszcuplał, osłabł, pobladł i posmutniał. Krótki wyjazd do Zakopanego tym razem nie zregenerował jego sił.

W lutym 1970 roku wyniki jego badań lekarskich okazały się przerażające. Był to szpiczak mnogi, groźny nowotwór układu krwiotwórczego. Teraz już było wiadomo, skąd te dolegliwości i ciągle pogarszające się samopoczucie. Jeszcze szukał spokoju i wzmocnienia w przyrodzie, wiosną zamieszkali z żoną w Stryszowie koło Kalwarii, skąd dojeżdżał do Krakowa na badania i przetaczanie krwi oraz na spotkania ze swoimi pacjentami. Jeszcze wyjechali do Drogini i do Białki Tatrzańskiej, ale podróże stawały się dla niego coraz trudniejsze. Pęknięcie kręgu w czasie kolejnej wyprawy przerwało samotanie z chorobą. Trzymiesięczne unieruchomienie w gipsowym łóżku stało się konieczne.

Jest to fragment książki „Antoni Kępiński. Gra z czasem”